

## Anubis

Kiedy błękit morza zabyłśnie w oddali, każda podróż staje się weselsza. Teraz też uśmiechamy się i oddychamy lżej, zjeżdżając zwinnie po coraz łagodniejszych zboczach, wokół zakurzonych przydrożnych pinii i laurowych krzewów. Na dole czeka na nas i wita rzędami białych domów Igumenica, największy adriatycki port Grecji – towarowy i pasażerski. Stąd promem dołyniesz do każdego większego portu Śródziemnomorza.

Według niektórych wariantów legendy to właśnie z tego kwitnącego jońskiego brzegu rozbawiona księżniczka Europa odpłynęła na grzbiecie pięknego byczka ku dzikim krainom zachodzącego słońca. I popłynęli daleko, daleko, aż tam, gdzie w zaroślach kapitolinijskich wzgórz wilczyca chowała dwoje ludzkich niemowląt – braci Romulusa i Remusa.

Teraz dwiema nowoczesnymi autostradami podążają tu ciężarówky, które jak gigantyczne metalowe gąsienice przetoczyły się znad Bosforu, a wyruszyły gdzieś z północnej Azji, z Dalekiego Wschodu. Przemykają smukłe auta, jadą kolorowe busiki z arabskimi literami na tablicach, kołyszą się przeładowane, obdrapane samochody, ledwo ciągnące szare od pyłu przyczepy.

Kupiliśmy już wcześniej bilety na jeden z promów do Włoch, więc mamy czas, parkujemy i spokojnie spacerujemy po mieście.

Kilometry przybrzeżnego bulwaru – po jednej stronie ogród i morze, po drugiej – kuchnie świata – szereg wabiących zapachem świątyni smaku. Kwitnące wszędzie oleandry, hibiskusy i rododendrony nie mogą przebić swoją wonią nęcącego aromatu przeróżnych egzotycznych potraw. Ustawiły się: restauracja za restauracją, tawerny, puby, herbaciarnie, kawiarnie arabskie z dymiącymi wodnymi fajkami i lśniącymi jak diamenty ciastkami na wielkich srebrnych tacach. Pizze, spaghetti, ravioli, tu wszędybylskie *patatas fritas*, tam tureckie kebaby, suto polewane parującymi sosami. Wabią grillowane sardynki, ozdobione cytrynowymi kwiatkami, rozkwitają krewetkowe paelle, przewalają się stopy wymyślnie zawinięte tortilli. Obok w zaparowanych szklankach iskrzą się miętowo-limonowe mojito i caipirina oraz barwna sangria – gaszące pragnienie i wszelkie niepokoje.

Kuchnie hinduskie ślą rozmaite gamy zapachów curry zza porcelanowych albo raczej plastikowych stoni, ustawionych przy wejściu. Ale nie tylko stonie pełnią zaszczytną funkcję straży i ozdoby lokali. Prawie w każdym ogródku restauracyjnym albo tuż przy schodach pomieszczenia spokojnie i dostojnie leży jakiś pies. Koty też błogo wyciągają się wyżej na murkach i parapetach. Przyglądają się przymrużonymi oczami, jak w szariko-tawernianych ogródkach złociste ryby smażą się na węgielnych piekarnikach.

Rok cały nie wystarczyłby, aby to wszystko skosztować.

Ludzie wychodzą ociężale, wsiadają ponownie do samochodów i podążają do portu, do swojego promu, by popłynąć w tę łaskoczącą oczekiwaną przyjemnością podróz.

Port, podobnie jak tawerny i pas restauracji, ciągnie się kilometrami – Stary, Nowy, Południowy Port. Duże i małe biura ledwo widoczne między sztydami reklamowymi gotowe są sprzedać w każdej chwili bilety na wszystko i na już. Ale my mamy swoje bilety, mamy przepełnione brzuchy, pozostaje zaparkować niedaleko sektora naszego promu i spacerować leniwie dookoła, czekając. Tak, trzeba pochodzić, bo cały wieczór i całą noc będziemy na pokładzie, a przecież od rana siedzieliśmy w samochodzie. Mijamy ogromne parkingi, gdzie ludzie rozsiedli się wprost na asfalcie między samochodami, mężczyźni gestykulują w kłębach dymu z ręcznie skręcanych papierosów, zakwefione kobiety przewijają na podwinionych kolanach niemowlęta. Starsze dzieci jedną ręką trzymają się kurczowo za szaty matek, a drugą wciskają do buzi kawałek ogryzionego placka. Z uwagą patrzą na to, co najlepiej widać z ich wysokości: przemykające jak zastrachane cienie bezpańskie psy. Zwierzęta te znają swoje miejsce, czują, że nie jest ono tu, gdzie w każdej chwili jakaś noga w sandale czy klapku może je skopać, a ochrypli głos skrzyzczeć. Psy wiedzą to, ale przychodzą, przyciągane przez zapachy podgrzewanej na turystycznym grzejniku potrawy, upuszczony przez dziecko herbatniczek lub papier z resztkami kanapki. Zaczynam przyglądać im się uważniej. Są to zakurzeni mieszkańcy wszelakiej maści, a to, co upodabnia ich do siebie, to ich skulenie i unizoność w stosunku do ludzi. Nawet kiedy chcą wyzebrać kawałek kanapki od przełykającego, to stoją bokiem i patrzą ukradkiem, przeciągłym, wilgotnym od upokorzenia wzrokiem.

Nieoczekiwanie zza kontenerów na śmieci wyłygnęła ona. Zupełnie inna, snuła się jak misterna zagłówek, jak młody tabędz na stawie. Już w pierwszej chwili nadałam jej imię – odgadłam je – była to Anubis. Nie tylko dlatego, że przypominała postać egipskiego boga-szakala i że miała barwę złota, kolor nagrzonej pustyni. Była posągowo-boska w swoim oddziaływaniu i prawie wszyscy mimo woli wpatrywaliśmy się w nią, choć stąpała miękko i bezszelestnie. Jej finezyjnie wyciągnięta główka osadzona na giętkiej szyi rozglądała się dookoła spokojnie i majestatycznie. Długie szczupłe nogi tańczyły pod jej smukłym ciałem, zakończonym równo uformowanym w podłużne wrzeciono ogonem. Spod jej brzuszka widać było sutki – zaostrome, podobne do wypustki koronki. Ona jest matką! Anubis ma tu gdzieś swoje szczeniątka!

Nie musiała żebrać, przechadzając się tak wśród ludzi, sprawiała, że kawałki pożywienia same do niej leciały. Jadła bez pośpiechu, nie machała ogonem, tylko lekko go opuszczała, ale ludzie i tak uśmiechali się i podrzucali następny kęs.

Kiedy spokojnie oddaliła się i znikła między samochodami, zdałam sobie sprawę, że nigdy wcześniej nie widziałam – na żywo ani na zdjęciach z wystaw – takiego psa. Ni to filigranowy chart, ni to szakal pustylny, a tak naprawdę była to ożywiona egipska statuetka, hieroglif psa płynący w zawieszonym upale. Sądziłam, że tamte piktogramy i reliefy są tylko rzeźbiarską stylizacją, a oto Anubis, królewsko smukła i nieziemska, naprawdę istnieje i nawet wychowuje gdzieś za śmietnikiem swoje małe.

Wsiadamy do samochodu, aby przejść przez kontrolę portową. Przygotowujemy bilety i dokumenty. My z europejską rejestracją przejeżdżamy przez bramy odprawy paszportowej i celnej właściwie bez zatrzymania się. Wystarczy pomachać paszportami. Inaczej sytuacja wygląda na drugim pasie przejścia, przy bramie bez gwiazdnego kółka na granatowym tle. Tam z załadowanych po dach samochodów, wyciągały się na zewnątrz żywe łańcuchy: wąsaci mężczyźni w białych koszulach, kobiety zawinięte w barwne kokony, przesypujące się między nimi dzieci – aż dziw ile osób mieściło się w jednym samochodzie. Tamten bus z westchnieniem ruszył do przodu, puścili go, ale dwóch mężczyzn zostaje – bezradnie stoją w bramie z opuszczonymi rękami. Starszy chowa głowę w ramionach, przytacza go powoli uświadamiana myśl o konieczności powrotu. Młody preży się, zaciska pięści. Pewnie to ojciec i syn. Mają takie same oczy, wielkie i rozłożyste, jak dojrzałe ciemne owoce, pod długim łukiem brwi. Prosty, smukły nos, soczyście wymodelowane usta – ależ to prawdziwe akademickie wzory do klasycznych portretów człowieka, oblicza praoojców, stwórców świata – kanon i pierwowzór szlachetnych ludzkich rysów. To te same oblicza władców z reliefów babilońskich i asyryjskich rzeźb z Persepolis. Kamienne płyty z tamtych kompleksów pałacowych stoją teraz w British Museum, są w Luwrze, w Dreźnie, w Berlinie, w większości wielkich europejskich muzeów. Podziwiałam wcześniej te płaskorzeźby, ale nie wiedziałam, że portretowani naprawdę istnieją, nadal żyją i że tak wyglądają w kolorze. Pod ciemnym nieładem pukli włosów matowa cera jest spokojnym, równym tłem dla nasyczonej czerwieni warg. Lśniące oczy są głębokie i ciepłe, jakby patrzyło się w dwie parujące filiżanki kawy.

Ojciec i syn pochylają wzrok, opuszczają głowy. Wracają, ciągną za sobą pakunki. Europie wystarczy to, że ma tamte pięknie wyrzeźbione reliefy ze starożytnych wschodnich pałaców.

My zajęliśmy już swoje miejsce na parkingu w oczekiwaniu na prom i wkrótce ujrzeliśmy go na horyzoncie. Szybko nabierał wielkości i klarowniejszych kształtów na tle nieba rozbarwanego zachodem słońca. Podpłynął jak dobre prehistoryczne zwierzę i otworzył usznię wielką paszczę. Najbliżej ustawione tiry z warkotem zaczęły wślizgiwać się do jego wnętrza.

Z tyłu wśród samochodów zapanowało radosne podniecenie. Z grzecznie ustawionych aut wychodzili ludzie, wymieniali uwagi na temat załadowywania, rozpakowywali z folii ciasteczka, popijali soki. Zrobiło się gwarnie. Ponad słowiańskim szeleszczeniem i miarowością greckiej mowy, włoskie zdania przelatywały jak refren tej samej melodii. Tylko ludzie z przepętnionych arabskich wozów cicho zerkali przez niemal zupełnie zasłonięte bagażami okna.

Nagle zawrzało: krzyki, tupot, trzaskały drzwi samochodowe, coś uderzyło w moje nogi, przekreśliło się i znikło z tyłu. Co to było! Pies jakiś?

Dobiegł patrol – dwaj mężczyźni ubrani jak komandosi, prowadzący na smyczy owczarka.

– Uciekają! – krzyтели ludzie – znowu ci uciekinierzy. Chcą przedostać się do Włoch!

- Zamykajcie auta! Sprawdźcie bagażniki!
- Po co sprawdzać? Kradną? Zabrali coś?
- Nie, nie, oni sami do bagażników wchodzą? Chude to, małe, zwinnie się, a kiedy w Bryndizi czy Ankone otworzysz, wyskoczy jak diabełek na sprężynie. Tak robią!
- Kurdyjskie dzieci – sieroty z Iraku.
- Nie, irańskie, a może i tureckie, bo chowają się w tamtych ciężarówkach i dojeżdżają aż tu.
- Podchodzą do tirów, tną szczyrkami plandeki i wpadają do środka, wprost na towar. Tam leżą zwinięte całą noc, zasypiają, a czasami umierają z zimna, bo na promie na dole mróz jak w lodówce. Włoscy celnicy wyciągają te dzieci spomiędzy pudeł od wielu godzin nieżywe jak zdechłe kociaki. Potem zaczyna się ciągnięcie człowieka po komisariatach. Kilka straconych dni, plandeka pocięta, trzeba wypełniać papiery, tłumaczyć się. Same kłopoty przez nie!
- *Povri bambini!* – kiwa głową ciemnowłosa mężczyzna i idzie obejrzeć swoją ciężarówkę.
- *Pajdu, pasmatriu, cztoby ja z Kaukazu puteszestwienika takowawa nie priwoził* – smutnawo uśmiecha się wielkolud i czochna jasną czupryną.

Mężczyźni jeszcze długo krzętałi się, gestykulowali. Wjazd ciężarówek ustał, sprawdzali ponownie te, które już wjechały na pokład promu. To musi potrwać, a słońce śpieszy się, aby przetrłać się do wody, już niedługo zmrok.

Nie mogę dłużej tak stać. Idę pospacerować – ale gdzie? Pochodzę dookoła, pospaceruję pomiędzy samochodami, później wzdłuż wysokiego na kilka metrów żelaznego płotu. Między gęstymi metalowymi prętami kolorowo prześwitują z dali reklamy miasta, neony klubów nocnych i budzących się kasyn. Po drugiej stronie płotu koczą ci, którym odpłynąć nie pozwolono, a wrócić nie mają już dokąd. Udają, że czekają na brakujące dokumenty.

Dochodzę do kontenerów na śmieci – wyrzucę niepotrzebne papierki szeleszczące mi w kieszeniach. O, to rachunek z kasy, sreberko po batonie, bon reklamowy do zbierania punktów z jakiejś stacji benzynowej... A co to! – odskoczyłam. Skulone w rogu dziecko! Ogromne ciemne oczy zerkają z przerażeniem znad poranionych kolan, palce spazmatycznie wbijają się w chude łydki. W takiej pozycji rysują dziecko w łonie matki, przeszło mi na myśl, kiedy otrząsnęłam się ze strachu – własnego strachu, bo chłopczyk nadal drżał i ciężko oddychał. To pewnie on chwilę wcześniej przeleciał między samochodami, kiedy nakryli go, nie zdążył już schować się do ciężarówki. To jego szukali komandosi z owczarkiem.

– Nie bój się – powiedziałam, nie wiem w jakim języku. Uśmiechnęłam się chyba.

– Nie bój się, nie wydam cię! – Choć tak naprawdę powinnam cię zawieźć do najbliższego sierocińca, pomyślałam. Ale to chyba nie takie proste, a jak się domyślałam, będziesz kopał i gryzł, a potem uciekniesz. Co tu można zrobić! Sięgnęłam do kieszeni: metalowe euro, centy, może mam gdzieś banknoty. Tymczasem chłopczyk rozluźnił się, rozwinął, oczy mu się zaświeciły, nawet uśmiechał się z lekka, aż biel jego ząbków

zajaśniała w zmierzchu. Ale patrzył nie na mnie, tylko gdzieś dalej. Odwróciłam się błyskawicznie. Za mną nie było nikogo! W dole zobaczyłam – Anubis! To do niej się uśmiechał! Wyciągnął ręce, a ona, omijając mnie zwinnie, wpadła w jego ramiona. Po chwili odsunęła się i zostawiła mu w dłoni kawałek placka. Dopiero teraz usłyszałam i zobaczyłam wychodzące spod metalowej skrzyni śmietnika dwa szczeniaczki. Dodreptały i wgramoliły się na kolana chłopca, a potem zaczęły wciskać noski w brzuch matki. Mały próbował podzielić się z nimi plackiem, ale one parły do swojej mamy. Zaczął jeść niespiesznie, a wolną ręką nadal głaskał Anubis wzdłuż grzbietu. Ona rozłożyła się między jego nogami i odwróciła na bok, pozwalając maluchom ssać mleko do syta.

Żadne z nich nie spojrzało już na mnie. Ściskane do tej pory monety wśliznęły mi się spomiędzy palców i opadły na dno kieszeni. Zrobiłam kilka kroków do tyłu, nie odrywając wzroku od tamtej grupki. Odstąpiłam, obca, niepotrzebna, ściszona – jak sprzed ołtarza w kościele, w którym właśnie trwa nabożeństwo.

Wróciłam do samochodów. Załadowane tiry i busy trzaskały dziwami. Szybko, teraz wjeżdżamy my! I oto włączamy się dobrowolnie w stalowe czeluście promu. Samochody jadą na dół, a pasażerowie pną się po krętych blaszanych schodach do góry, do kajut, do restauracji, do barów i automatów do gry. Duszno i tłoczno. Poszłam dalej po schodach, na ostatnią platformę, tam zupełnie z tyłu, gdzie niektórzy pracownicy w pośpiechu ciągnęli dym z papierosów. Na pokładzie nie wolno im palić, dlatego spoglądali na mnie nerwowo, ale ja patrzyłam dalej na parking, na wysokie ogrodzenie, na kontenery ze śmieciami. W mieście pulsowały świetlne reklamy, błyskały jak oszalałe, bo stońce już zupełnie przygasto. Wiatr przenikał słonym, nocnym chłodem. Zapięłam kurtkę, w kieszeniach zdradziecko zabrzęczały monety. Tamte monety! Wygrzebałam je kurczowo i wyrzuciłam za burtę – nie z namaszczeniem jak do włoskich fontann, a z niezrozumiałą złością. Ponoć ofiara taka jest obietnicą powrotu w to samo miejsce, ale czy ktokolwiek chce wrócić do miejsca, z którego na białym byku odplynęła księżniczka Europa?

Prom, załadowany do granic pojemności, odbijał od brzegu, płynął ku zatopionemu słońcu.



Jana Bečková